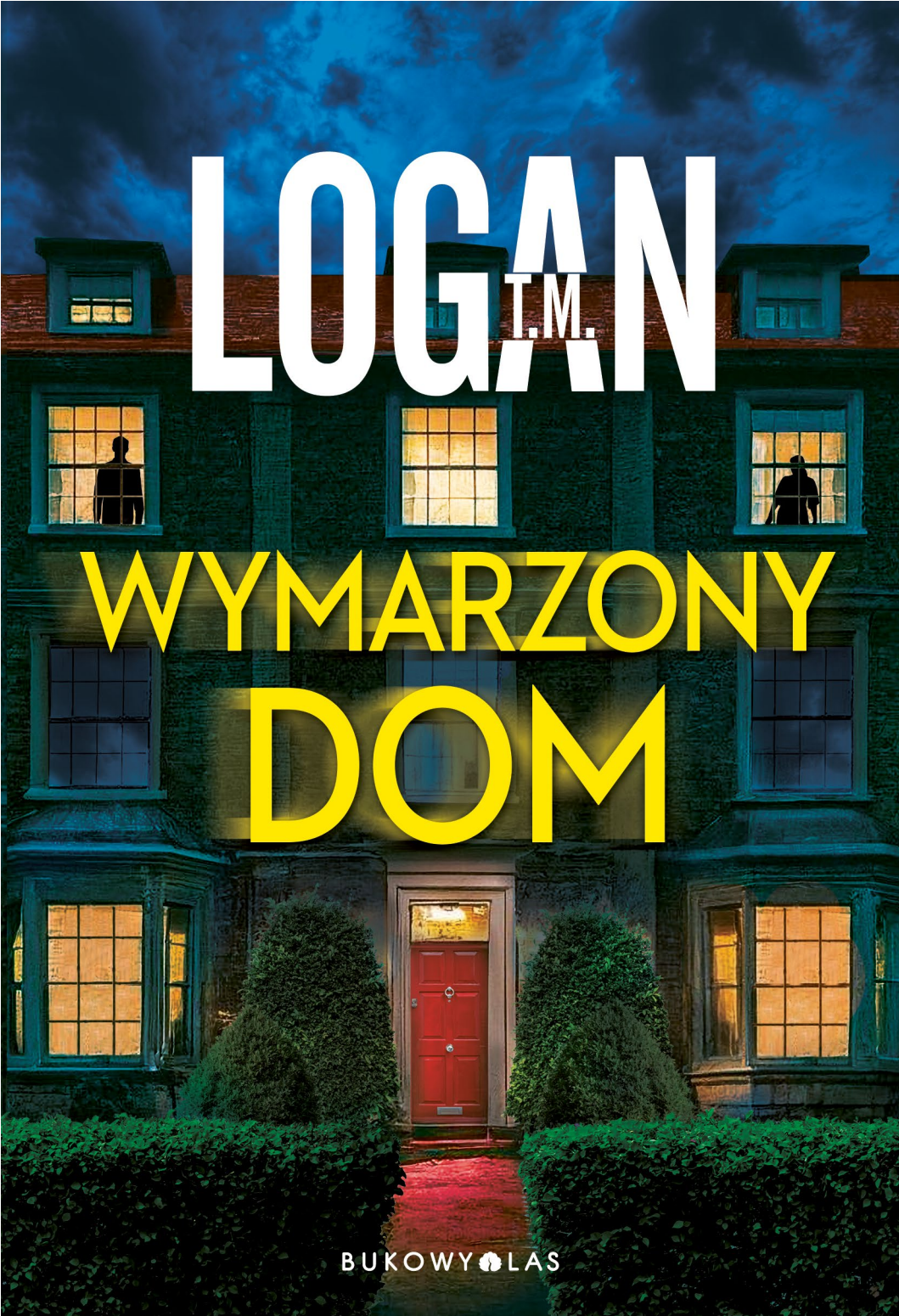


The background of the entire image is a photograph of a large, dark, multi-story house at night. The house has a red door and several windows, some of which are lit from within, casting a warm glow. The sky above the house is dark blue with some clouds. The title 'LOGAN' is written in large, white, bold, sans-serif capital letters across the top of the image. The subtitle 'WYMARZONY DOM' is written in large, yellow, bold, sans-serif capital letters across the middle of the image. The publisher's name 'BUKOWY LAS' is written in small, white, sans-serif capital letters at the bottom center of the image.

LOGAN

WYMARZONY DOM

BUKOWY LAS

NIEDZIELA

Dzień przeprowadzki chyli się już ku końcowi, gdy dokonuję odkrycia.

Dzień spędzony na dźwiganiu, przenoszeniu, parzeniu kolejnych filiżanek herbaty dla ekipy przeprowadzkowej, bieganiu tam i z powrotem po szerokich schodach, dzień rozpakowywania pudeł, montowania łóżek i zlecenia dzieciom drobnych zadań, żeby zająć czymś ich uwagę. Dzień wypełniony ożywioną działalnością, mającą tchnąć w ten stary dom nowe życie.

Wciąż trudno mi w to wszystko uwierzyć, mimo że rozmawiamy z Jess o tym, który pokój wyremontujemy jako pierwszy. Żaden z nich od dekad nie widział nowego dywanu ani warstwy świeżej farby. Dom wymaga gruntownej renowacji, jak oznajmił agent nieruchomości, uśmiechając się do nas z nadzieją. Rzecz w tym, że oboje zakochaliśmy się w tym miejscu od pierwszego wejrzenia. Uderzyła nas świadomość, że to rozległe wiktoriańskie domostwo o wysokich sufitach i oknach, ze strzelistymi kominami i szachulcowymi ścianami szczytowymi jest absolutnie jedyne w swoim rodzaju. Nad głównym wejściem widnieje rok jego powstania, wryty kunsztownie na kamiennej elewacji: 1889. Sześć pokoi, trzy łazienki, dwa korytarze, piwnica, spiżarnia i kąciek wypoczynkowy. Całe mnóstwo miejsca.

Było dla nas jasne, że dom wymaga porządnego remontu – między innymi dlatego mogliśmy sobie na niego pozwolić. The Park jest drogą dzielnicą. Nazwano ją tak z powodu starego, położonego na podzamczu jeleniego parku, który ongiś utrzymywano na potrzeby królewskich polowań. Obecnie stanowi enklawę wystawnych dziewiętnastowiecznych domów i szerokich ulic, obsadzoną drzewami oazę pełną skrytych za murami ogrodów, spokoju i zieleni w samym sercu Nottingham.

Późnym popołudniem zbieram śmieci z podłogi na drugim piętrze. Nogi mam jak z ołowiu i zaczął mnie już boleć krzyż od znoszenia po schodach pozostałości po poprzednich lokatorach. Dźwigałem dziś stopy starych gazet, składane łóżko, które ktoś zostawił na półpiętrze, szczątki połamanego regału, kartony pełne kafli czy plastikowe worki wypchane starymi ubraniami.

W domu jest też wypełniony zatęchłym powietrzem najmniejszy pokój na poddaszu. Ze ściany zwisają w nim pozostałości starej szafy. Półki z płyty wiórowej są połamane, jedno skrzydło drzwi zatrzasnęło się na amen, a drugie wypadło z prowadnic. Z potrzaskanej ramy mebla sterczą gwoździe i śruby, tylko czekające ciekawskich dziecięcych rączek. Całość wygląda, jakby w każdej chwili miała runąć z hukiem. Nie czekam więc, tylko biorę się do dzieła. Po chwili szczątki starej szafy wnękowej zostają oderwane od ściany. Spłaszczam gwoździe łomem i łamię całą konstrukcję na kawałki, które następnie układam w rogu pokoju.

Jak dotąd każdy pokój w tym domu objawił nam jakąś zagadkę, jakiś dziwny detal, którego nikt z nas się nie spodziewał.

Z tym pomieszczeniem jest podobnie.

Nie patrzę bowiem na ściankę działową z malowanego gipsu, warstwę starej tapety czy rzędy cegieł. Zamiast tego stara szafa skrywała za sobą boazerię z ciemnego drewna, taką samą jak ta w holu na parterze. Orzechową albo tekową, trudno powiedzieć. Panele rozciągają się od sufitu aż do podłogi. Wygląda to

zdecydowanie lepiej niż stara szafa. Szkoda, że ktoś postanowił przesłonić tę urodziwą powierzchnię tak szpetnym meblem. Doliczam się siedmiu paneli wżwyż i tuzina wszertz. Wykonał je znakomity rzemieślnik. Każdy panel został starannie wpasowany w poprzedni. Jedyną skazą na równej powierzchni są otwory wywiercone w miejscach, gdzie przymocowano szafę.

Przesuwam dłońmi po jednym z paneli, rozkoszując się gładkością drewna. Robię krok w tył, żeby przyjrzeć mu się jak należy, i strzelam szybką fotkę telefonem, żeby pokazać Jess, co właśnie odkryłem. Późne popołudniowe słońce wpadające przez świetlik w suficie sprawia, że drewno niemal lśni, jaśniej niż wypolerowany mosiądz, jakby powstało z jednego kawałka...

Zerkam na zdjęcie, a potem znów na boazerię. Porównuję fotografię w wysokiej rozdzielczości z obrazem, który mam przed sobą.

Promień słońca padł na gładką powierzchnię pod takim kątem, że pozornie nieskazitelne rzemiosło, którym właśnie się zachwyciałem, ujawniło swoje braki. Być może panele z czasem trochę się poprzemieszczały – tak bywa, gdy dom przeciąga swoje stare kości. Na zdjęciu widzę cienką, lecz wyraźną pionową linię, pęknięcie dzielące dwa panele przy samym skraju ściany.

Ale tylko na zdjęciu. Nie jestem w stanie dostrzec tej szpary gołym okiem. Przeciągam dłońią pomiędzy dwoma panelami przy prawym krańcu ściany. Nie widzę, ale czuję. Opuszki moich palców natrafiają na niemal niedostrzegalny szew w gładkim drewnie. Przesuwam dłoń nieco wyżej, a potem w dół, aż do samej podłogi. A potem znowu w górę, w poprzek i ponownie w dół.

To nie jest szew... a przynajmniej nie tylko.

To zarys drzwi.

Być może ukryto za nimi stare rury. Boazeria to sprytnie rozwiązanie, w razie kłopotów umożliwiające dyskretny dostęp. A może drzwi skrywają trochę dodatkowej przestrzeni na poddaszu, schowanej pod okapem spadzistego dachu. Nie jestem

w stanie dostrzec żadnej dziurki od klucza, zamka czy zatrzasku. Niczego, co mogłoby je otworzyć lub zamknąć.

Spędzam dobrą minutę, macając przestrzeń wokół szczeliny, ale nie znajduję niczego, co pełniłoby funkcję dźwigni. Niczego, co mógłbym pociągnąć, popchnąć lub przekręcić. Żadnego przycisku, żadnego uchwyty.

W przypływie frustracji przykładam dłoń do środkowego panelu i pcham lekko.

Drzwi uchylają się w moją stronę z niechętnym kliknięciem. Nieznacznie, o kilka centymetrów. Na chwilę zamieram w bezruchu, biorę głęboki wdech, a potem otwieram je na całą szerokość. Zawiasy chodzą bezszelestnie.

Za progiem czeka na mnie idealna ciemność. Powietrze jest tu zastale i stęchłe. Unosi się w nim tępa, gorzkawa woń starych cegieł i powolnego rozkładu. Woń, której nikt nie wdychał od bardzo, bardzo dawna. Moje serce odrobinę przyspiesza bieg, gdy wydaję z kieszeni telefon i włączam funkcję latarki. Strumień białego światła rzuca chybotliwe cienie na to, co mam przed sobą: fotel, boczny stolik, dosuniętą do ściany komodę. Wszystko pokryte kurzem i pajęczynami.

To nie tylko panel skrywający nieestetyczne rury.

Nie jest to też dodatkowa przestrzeń do przechowywania.

To osobny pokój, z jakiejś przyczyny ukryty za ścianą.

2

Wiedziałem, że z tą sypialnią na najwyższym piętrze jest coś nie tak.

Wymiary pomieszczenia wydawały się dziwnie wąskie, a ściana nie pasowała do tej w pokoju obok. Ukryta przestrzeń, którą

właśnie ujawniłem, jest niewielka i ciasna niczym schron. Być może to kryjówka dla księdza, pochodząca z czasów prześladowań katolików? Z drugiej strony dom nie jest dość stary, by mógł być świadkiem tamtego okresu w historii. Jeżeli wierzyć cyfrom nad frontowym wejściem, powstał w 1889 roku. Wiem też, że od tego czasu rozbudowywano go przynajmniej dwa razy. Otwieram w telefonie stronę agencji nieruchomości i wpatruję się w rozkład pomieszczeń. Powiększam plan górnego piętra i sprawdzam wymiary pokoju, w którym się znajduję: mniej więcej trzy na ponad trzy i pół metra. To by się zgadzało. Plan kondygnacji nie wspomina o żadnej dodatkowej przestrzeni z boku, o żadnym ukrytym aneksie, który wbudowano tak dawno temu, że ludzie zapewne całkiem o nim zapomnieli. Dodatkowy metr z kawałkiem przestrzeni, którą przekształcono w osobne pomieszczenie.

Schyłam się i przestępuję próg.

Powietrze jest tu gęste od zwałów wieloletniego kurzu. Woń starego drewna i pokruszonych cegieł wypełnia mi nozdrza.

Deski podłogi skrzypią ostrzegawczo. Zamieram w bezruchu, ogarnięty dziwnym poczuciem, że wkraczam na cudze terytorium. Wiem, że to bez sensu. Ten dom odtąd należy do nas – razem ze wszystkim, co znajdziemy w jego czterech ścianach. Od jaskrawych dywanów z lat siedemdziesiątych, którymi pokryto szczyt schodów, po stertę pordzewiałych puszek z farbami w piwnicy. Spłowiałe książki kucharskie porzucone w spiżarni i ozdobny teksturowany sufit w salonie, który z czasem zżółkł i zmatowiał od dymu z papierosów. Wszystko to jest teraz nasze. Zostało porzucone przez poprzedniego właściciela, człowieka w sędziwym wieku. Możemy z tym zrobić, co nam się podoba.

Ostre światło z mojego telefonu omiata otoczenie, wydobywając z mroku serię ruchliwych cieni. Wszystkie kąty zarosły grubą warstwą pajęczyn. Po jednej stronie dostrzegam stare dywany, przybite gwoździami do nagiej cegły, po drugiej – krzywiznę

skośnego sufitu. Stoi tam niski, wysłużony fotel z dostawionym do niego małym bocznym stolikiem, na którym leży brązowa ceramiczna podkładka. Wiele lat temu ktoś mógł stawiać na nim filiżankę z herbatą. Pod ścianą stoi sfatygowany kredens z ciemnego, niemal czarnego drewna. Z sufitu zwisa naga żarówka. Pociągam za sznur włącznika, ale bez skutku; już dawno wyzionęła ducha.

Po prawej stronie kredensu dostrzegam pojedyncze duże drzwiczki, a po lewej osiem małych szuflad, uszeregowanych w dwóch kolumnach. Pociągam za gałkę i drzwiczki uchylają się, skrzypiąc.

Szafka jest pusta, jeśli nie liczyć kolejnej warstwy pajęczyn i wyschniętych zwłok różnych insektów. Próbuję otworzyć górną szufladę. Zamknięta. Ta obok także, podobnie jak ta niżej.

Moja ciekawość została rozbudzona, a do tego czuję, jak rośnie we mnie frustracja. Te dwie emocje wpędzały mnie w kłopoty, odkąd byłem dzieckiem. Kredens zamknięty na klucz, ukryte drzwi, sekretne pomieszczenie. Teraz zdecydowanie chcę zobaczyć, co jest w środku. Może schowano tu coś cennego? Pieniądze, kosztowności, kolekcję złotych monet albo klucz do skrytki w jakimś prywatnym banku? Przydałoby mi się każde z tych znalezisk, szczególnie teraz, gdy kupiliśmy dom.

Jestem przekonany, że poradzę sobie z tymi szufladami. Wystarczy połączyć ignorancję z odrobiną brutalnej siły. Pochyliam głowę, przeciskając się przez niskie wejście, i wychodzę z powrotem do głównego pokoju, a potem idę do mojej skrzynki z narzędziami leżącej na półpiętrze. Wybieram największy z płaskich śrubokrętów, stare dłuto i wreszcie środek ostateczny: mój wierzny łom, gładką stal ciężącą mi w dłoni. Od prymitywnego, przez bardziej prymitywne, aż do najprymitywniejszego z narzędzi.

Zaczynam od dłuta, którego ostrze wsuwam w szczelinę pomiędzy górną szufladą i drewnianym blatem kredensu. Odgynam rączkę do tyłu i napieram na nią całym ciężarem ciała...

Ostrze dłuta odpada z głuchym dźwiękiem.

Zostaję ze starą drewnianą rączką w zaciśniętej garści. Wy-
suwam ze szpary uwolnione ostrze i przyglądam się kredensowi,
czując wzmożoną ciekawość.

Ten stary rupieć zbito naprawdę solidnie. Zanim zaatakuję
antyczny mebel z łomem w ręku, powinienem przynajmniej po-
rządnie mu się przyjrzeć.

Schodzę dwa piętra niżej i wkraczam do korytarza na par-
terze, wyłożonego wiktoriańskimi płytkami. Z jednego z pudeł,
na którym ręka Jess wypisała schludnymi wielkimi literami
„POTRZEBNE DO PRZEPROWADZKI”, wyjmuję sześćdzie-
sięciowatową żarówkę. W misce ustawionej na parapecie okna
leży kilka różnych kluczy. Wręczono nam je w dniu, w którym
podpisaliśmy umowę kupna. Niektóre z nich zamykają drzwi
frontowe. Są też klucze od garażu, szopy i parę takich o niezna-
nym jeszcze przeznaczeniu.

Zgarniam je wszystkie i wracam do ukrytej wnęki, a potem
wypróbuję każdy klucz po kolei, starając się dopasować któ-
rykolwiek do zamków w kredensie. Przyswieciam sobie telefo-
nem, przycupnięty na skraju starego fotela.

Żaden z tych kluczy niczego nie otwiera.

Żaden z nich nie pasuje do ośmiu identycznych dziurek
w małych szufladach.

Wzdycham głośno, wciskam klucze do kieszeni džinsów,
czując, jak ciekawość rozpala się we mnie jasnym płomieniem.
Właściwy klucz zapewne przepadł bez wieści w jakimś pudełku,
w jakiejsz szufladzie albo w starym słoju pełnym przydasiów. Być
może spoczywa pod toną śmieci na wysypisku, na zawsze rozłą-
czony z szufladami, którym służył.

Albo... albo i nie. Czy ktokolwiek zadałby sobie tyle trudu,
żeby stworzyć sekretne pomieszczenie, a potem zostawił klucz
na wierzchu? Gdzieś, gdzie łatwo byłoby go znaleźć?

Wymieniam żarówkę na nową i ponownie ciągnę za sznur włącznika, a potem mrugam raptownie, gdy moje oczy przyzwyczajają się do nagłego blasku. Pokój wydaje się starszy i wygląda bardziej zwyczajnie – ostre białe światło odebrało mu nieco posępności. Podejrzewam, że w ciemności wszystko robi się niepokojące. Pomagam sobie latarką z telefonu. Omiotam snopem blasku cały kredens i ścianę za nim, a także drewnianą framugę, którą skrywał. Podłoga znów wydaje z siebie ostrzegawczy trzask. Przykucam w miejscu i ostrożnie sprawdzam każdą z desek osobno, żeby zidentyfikować tę poluzowaną. Przyglądam się rzędom cegieł i przesuwam palcami po szorstkiej powierzchni zaprawy, szukając jakichkolwiek szczelin. Cegły się łuszczą, a zaprawę zaaplikowano nierówno i byle jak, ale nie jestem w stanie znaleźć żadnej oczywistej skrytki, która mogłaby mieścić w sobie klucz. Odsłonięte drewno drzwi jest niczym kulisy dekoracji teatralnej. To ta strona muru, której nikt nigdy nie ogląda, więc drewno pozostało surowe i szorstkie. Jest lite, porządne i dość szerokie, żeby zmieścić w nim klucz. Wyciągam rękę i obmacuję górną krawędź framugi. Niemal natychmiast natykam się na coś ostrego i czuję, jak mój palec wskazujący przeszywa nagły ból.

Cofam rękę, klnąc przez zęby. Widzę, jak pod paznokciem rośnie połyskliwy, ciemny półokrąg krwi.

Kieruję snop światła z latarki bezpośrednio w to miejsce i natychmiast dostrzegam, co przeoczyłem. Gwoździe, które najwyraźniej wbito z przeciwnej strony. Niemal półtoracentymetrowe ostrza sterczą wokół drzwi, wystają z drewnianych paneli, a niektóre połyskują słabo tuż pod spadzistym sufitem nad moją głową. Jest ich co najmniej tuzin; zostały gęsto rozmieszczone na niewielkiej powierzchni. Małeńkie pułapki na nieuważnych ludzi.

Robię krok w tył, ssę zraniony palec i wpatruję się w ciemne drewno kredensu. Omiotam wzrokiem nienaruszoną warstewkę kurzu pokrywającą wszystkie jego płaszczyzny. Rząd

drobnych mosiężnych uchwytów od szuflad drwi ze mnie, rzuca mi wyzwanie.

Pewnie i tak są puste. Ale nie w tym rzecz.

Moją uwagę zwraca jeszcze jedna dziwna okoliczność. Ten mebel jest o wiele za duży, by zmieścić się w drzwiach wiodących do niewielkiego pokoju. Kredens nie jest jakiś szczególnie ogromny, ale tak czy siak zbyt szeroki i zbyt wysoki, żeby dało się go przetransportować tak wąskim przejściem – zahaczyłby o nie z wielu stron. Podobnie jak stary niski fotel, w którym właśnie siedzę. A zatem najpierw znalazły się tu meble, a dopiero potem zbudowano dodatkową ścianę. Zamurowano je tutaj raz na zawsze. Miały nigdy więcej nie ujrzyć światła dnia.

Ważę w ręce stalowy łom, gotów wepchnąć jego ostrze w szczelinę pomiędzy szufladami i skruszyć drewno, zniszczyć zamek, zmusić go, żeby się otworzył.

Pokażę temu staremu gratowi, kto tu jest szefem.

Cały się wzdrygam, gdy za moimi plecami rozlega się czyjś głos. Prostuję się raptownie i uderzam głową w niski sufit.

– Będziesz to rozwalał, tato?

Odwracam się i widzę smukłą postać w dżinsach i podkoszulku, skąpaną w świetle wpadającym tu z pokoju za ścianą. Właśnie przełazi przez niskie przejście. To moja najstarsza córka. Rozgląda się po ciasnym pomieszczeniu i marszczy nos, czując panujący tutaj kwaskowaty zaduch.

– No cześć, Leah. – Odkładał łom. – Jak ci idzie rozpakowywanie?

– Powoli. – Wpatruje się w mrok. – Co to niby jest?

– Jakiś schowek – odpowiadam.

– Schowek? Na rzeczy, których nie chcesz więcej widzieć?

– Może i tak – mruczę pod nosem. – Myślę, że ktoś zapomniał, że ten pokój w ogóle istnieje. Musiał powstać dawno temu.

– Trochę tu upiornie...

– No wiem.

– Moglibyśmy trzymać tu Calluma – proponuje Leah z zawa-
diackim uśmiechem. – Jak będzie niegrzeczny.

Przysuwa się bliżej, a ja unoszę dłoni.

– Nie wchodź, wszędzie tu pełno sterczących gwoździ.

– Krew ci leci – oznajmia, wskazując na moją rękę.

– Nadziałem się na gwóźdź.

Wąska strużka czerwieni spływa po mojej dłoni i kapie z nad-
garstka. Ciemne krople plamą starą podłogę.

– Na półpiętrze został ręcznik papierowy, przyniesiesz mi
trochę?

Leah znika na moment i wraca z kilkoma kawałkami papieru.

– Na razie lepiej tutaj nie wchodź, okej? – Owijam ręcznik
wokół krwawiącego palca. – Przynajmniej zanim nie pozbędę
się tych gwoździ i nie zrobi się tu bezpiecznie. Niech twój brat
i siostra też trzymają się z daleka.

– Jasne. – Kiwa głową, znudzona i gotowa już zająć się czymś
innym. – A, mama kałała cię spytać, co ty właściwie wyprawiasz,
i powiedzieć, żebyś zszedł na dół i pomógł jej z tym wihajstrem.

– Z czym?

– Z tym ustrojstwem... No wiesz, bojlarem czy czymś w tym
rodzaju. Po prostu kałała ci zejść. – Leah się uśmiecha. – Jak już
skończysz demolować stare meble.

Odwraca się i znika. Słyszę jej lekkie kroki oddalające się
w stronę półpiętra.

Z powrotem wbijam wzrok w stary kredens. Teraz, gdy to
dziwne miejsce pobrało ode mnie daninę krwi, być może na-
prawdę rozprawię się z nim przemocą.

Ale jeszcze nie teraz.

Odsuwam narzędzia na bok i klękam na odsłoniętej po-
wierzchni, po czym sięgam pod kredens, ostrożnie badając
palcami każdy centymetr przestrzeni, żeby uniknąć dalszych

kłujących niespodzianek. Przechylałam kredens do siebie. Jest ciężki, więc jego nóżki trzeszczą w proteście, rysując drewnianą podłogę. Czuję na wierzchu dłoni dyskretne kroki przebiegającego pająka.

Przyklekam i ciągnę mebel do siebie. Między ścianą a murem tworzy się przestrzeń, szeroka mniej więcej na trzydzieści centymetrów. To pierwszy raz od wielu lat, kiedy te dwie powierzchnie zostały rozdzielone. Spowija mnie chmura leciwego kurzu unosząca się w skisłym powietrzu. Plecy kredensu nie powstały z jednej, równo licowanej płyty, tylko są lekko wpuszczone w korpus we wręgu; solidne prostokątne drewniane płyciny, jakich nie uświadczysz w meblach z Ikei. Żadnego MDF-u, żadnych płyt wiórowych ani kołków trzymających to wszystko w kupie.

Odchylam się do tyłu, tak żeby światło żarówki padło na tylny panel. Widzę drewno pokryte warstwą starych pajęczyn i szczątków wysuszonych insektów czekających na powrót pająka. Po chwili dostrzegam coś jeszcze.

Na samym dole w litym drewnie wyryto wąski otwór, długi mniej więcej na trzy centymetry. Musiał powstać z pomocą dłuta czy innego ostrego narzędzia.

W tym płytkim zagłębieniu leży klucz.

3

Klucz jest krótki i gruby – bryłka ciemnego matowego żelaza, długa zaledwie na jakieś sześć centymetrów. Wyluskuję go z kryjówki, rozgarniając pajęczyny, i dmucham na znalezisko, żeby usunąć warstwę kurzu. Wygląda jak klucz do starej szkatułki na biżuterię albo do szuflady biurka. Jest zimny i zaskakująco ciężki, gdy ważę go w dłoni.

Mam wrażenie, jakby przez te wszystkie lata czekał właśnie na mnie.

Słyszę, jak Leah nawołuje mnie u podnóża schodów, ale tu, na najwyższym piętrze, jej głos wydaje się bardzo odległy.

Zejdę do nich. Za moment.

Wsuwam klucz do otworu jednej z najwyższych szuflad po lewej. Wchodzi gładko i obraca się w zamku z suchym kliknięciem.

Pociągam za okrągły mosiężny uchwyt i odsuwam szufladę. Chodzi dość opornie, ale wystarczy nieco więcej siły, tak by drewno zaskrzypiało. Z początku widzę tylko spłowiały kwiecisty papier wyścielający wnętrze, taki jak w kredensie mojej babci. Pomarszczył się i zawinął na krawędziach ze starości. A potem dostrzegam coś jeszcze: stary portfel z brązowej skóry, również powyginanej i pomarszczonej na krawędziach. Podnoszę go szybko i przesuwam palcami po inicjałach DF wybitych w rogu. Portfel jest pusty.

W następnej szufladzie znajduję schludnie złożony wełniany szalik w fioletową kratkę. Obracam go w palcach, zastanawiając się, jak to możliwe, że wciąż jest miły w dotyku. W moje nozdrza uderza delikatny powiew perfum – widmo zapachu, ulotne i blade niczym kwiat zasuszony między stronami książki. Subtelna woń kontrastuje z suchym, pełnym kurzu powietrzem w pomieszczeniu.

Kolejna szuflada skrywa starą psią obrozę z czarnej skóry. Smyczy brak. Mała okrągła zawieszka jest porysowana i znożona, a wyryte na niej imię brzmi Woody. Po drugiej stronie wytrawiono adres – Sumner Street 167. Jest też numer telefonu, ale bez kierunkowego. Nie znam tej dzielnicy dość dobrze, by wiedzieć, jak daleko od ulicy Sumner się znajdujemy. Poza tym drogi, stary Woody na pewno już od dawna gryzie ziemię.

Następna szuflada grzechocze lekko, gdy ją otwieram. W środku znajduję dwa pierścionki – zwykłą złotą obrączkę

i wąski sygnet z czarnym kamieniem. Żaden z nich nie wygląda, jakby był wiele wart. Oba zostały nawleczone na kółko, na którym wisi pojedynczy mosiężny kluczyk, sądząc po kształcie, otwierający jakieś drzwi. Cienki metalowy łańcuszek łączy ten klucz z brelokiem, który jest płaski, lecz odwzorowuje kształt piłki tenisowej. Może to klucz do naszych drzwi wejściowych? Będę musiał wyrobić kolejny zestaw, ale póki co przyda mi się zapasowy dla brata.

Wsuwam klucz do kieszeni, zapisując w pamięci, żeby zająć się tym później. Otwieram piątą szufladę. Czuję się jak w jakiejś dziwnej, kiepsko oświetlonej wersji starego programu telewizyjnego *Co jest w tej skrzynce?* albo *Skarb czy rupieć?* Albo też w jakiejś osobliwej edycji *Antiques Roadshow*, w której żaden z eksponatów nie jest wart złamanego grosza.

W ostatniej szufladzie znajduję parę prostokątnych okularów w subtelnych szylkretowych oprawkach. Zauszniki zostały schludnie złożone, tak jakby ktoś je odłożył, szykując się do snu, i zapomniał o nich raz na zawsze. Jedno ze szkieł jest przekreślone pęknięciem, wąskim niczym pojedynczy włos, widocznym w dolnej części plastiku. Wyjmuję okulary z szuflady, rozkładam zauszniki i mrużąc oczy, spoglądam przez silne szkła, pokryte matowym osadem wieku, kurzu i starego brudu – jak wszystko inne co tu znalazłem. Składam je i umieszczam z powrotem w szufladzie. Przez chwilę rozglądam się za futerałem, który być może przeoczyłem. Bez skutku.

Kolejna szuflada z początku wydaje się pusta. Przysuwam telefon dość blisko, żeby rozświetlić ją snopem światła z latarki. Z mroku wyłania się jakiś matowy przedmiot z metalu i szkła. To zegarek ze skórzaną bransoletą zniszczoną przez czas. Przyświecam sobie, żeby odczytać słowa widoczne na środku cyferblatu, tuż pod symbolem korony. Rolex Explorer. Nie znam się na tym, ale wiem, że Rolex to kosztowna marka. Ktoś przeszukał

cały dom, próbując go znaleźć. Jeśli sądzić po warstwie kurzu spowijającej wszystko wokół, było to dawno temu.

Wyjmuję znalezisko z szuflady i kładę je na dłoni, czując, jak metal chłodzi mi skórę. Wskazówki zamarły na godzinie jedenastej dziesięć. Kiedy to było? Przed rokiem? Dziesięć lat temu, a może dwadzieścia? Mrużę oczy w mętным świetle, usiłując dostrzec maleńkie cyfry w okienku datownika, które zatrzymały się na dwudziestym piątym dniu miesiąca. Z tyłu koperty zegarka odkrywam wyryte inicjały i datę: EJS 29–11–75. Czyjaś umiłowana własność, która przestała działać zgodnie z przeznaczeniem, a naprawa kosztowałaby zbyt wiele. Ale właściciel nie był w stanie się z nią rozstać, więc wylądowała tutaj, zapomniana i porzucona w tym czyszcisku dla przedmiotów. Dobrze znałem to uczucie. Nasz stary garaż pękał w szwach od rozmaitych szpargałów, starych rowerów, różnych gadżetów i zabawek o wartości czysto sentymentalnej.

Śmieci, tak mówiła o tym wszystkim Jess. Większość z nich trafiła na wysypisko, dopiero gdy nadszedł czas na przeprowadzkę. Moja żona w końcu postawiła na swoim.

Potrząsam zegarkiem. Bez skutku. Z pewnością jest to precyzyjny czasomierz, prawdziwy klasyk w swojej kategorii. Kimkolwiek był EJS, miał farta, że został posiadaczem takiego pięknego egzemplarza. Nakręcam go odruchowo i jestem bardzo zdumiony, gdy zaczyna tykać. Działa. Nie jest zepsuty, po prostu ktoś go porzucił. Schował tutaj i całkiem zapomniał o jego istnieniu.

Zostały już tylko dwie szuflady. Jakiś mały, twardy przedmiot grzechocze lekko, gdy otwieram tę po lewej. Światło z latarki odbija się od matowej srebrnej powierzchni. Plastik. Zajmuje mi chwilę, zanim pojmę, na co patrzę: to stary telefon komórkowy. Jego srebrna obudowa z wiekiem pokryła się matowym nalotem. Mój pierwszy telefon wyglądał bardzo podobnie, miał klapkę i uważałem, że to czaderski bajer. Teraz jest przestarzałym

rupieciami, wrzuconym do szuflady i zapomnianym podobnie jak miliony innych. Pamiętam, że gdzieś miałem trzy lub cztery stare telefony, każdy wymieniony na nowy pod koniec umowy. Trzymałem je na wszelki wypadek. Jess zawsze sprzedawała swoje na eBayu, ale ja lubiłem trzymać przestarzałą elektronikę, w razie gdyby nowy model został upuszczony, zgubiony lub skradziony – choć jak dotąd nie miałem okazji pogratulować sobie własnej przezorności.

Mała motorola wydaje się cięższa, bardziej treściwa niż mój iPhone, będący rozmiarów małej tabliczki czekolady. Klapka modelu, który trzymam w ręku, odskakuje sprężysto, a ekran wewnątrz jest maleńki i czarny, tylko odrobinę większy od znaczka pocztowego. Poniżej znajduje się klasyczna dwunasto-przyciskowa klawiatura i kilka innych guzików. Ikonka telefonu do odbierania połączeń i rozłączania się oraz cztery strzałki wskazujące w górę, w dół, w lewo i w prawo. Ten telefon nie może być aż tak stary, ale sprawia wrażenie obiektu muzealnego, reliktu prostszych czasów, kiedy te przedmioty służyły nam tylko do dzwonienia i niekiedy do wysyłania SMS-ów.

Kręcę głową i uśmiecham się do siebie. Boże, brzmię jak mój własny ojciec. Jednak przyjemnie jest mieć w ręku telefon z fizycznymi przyciskami. Ten styl wyszedł z mody tak dawno temu, że zatoczył koło i stał się czymś w rodzaju uroczego, staroświeckiego gadżetu, podobnie jak płyty winylowe i polaroidy. Po prawej stronie dostrzegam przycisk z symbolem on/off. Krótka pozioma linia zamknięta w okręgu. Wiedziony ciekawością przyciskam go kciukiem.

Nic się nie dzieje. Mały ekran pozostaje uśpiony. Oczywiście, że tak – prawdopodobnie telefon nie zaznał prądu od lat, a bateria rozładowała się dawno temu. Gniazdko zasilania jest małe i okrągłe. Przypominam sobie, że w którymś z kartonów powinienem znaleźć stary kabel, który będzie do niego pasował.

Ostatnia szuflada jest pusta, nie licząc wyblakłego papieru w kwiatki. Sięgam aż do samego jej końca, czując przypływ rozczarowania. Wolalbym, żeby ten ciekawy zakątek mojego domu przyniósł więcej łupów.

Siadam ostrożnie w starym fotelu, a sprężyny skrzypią pod moim ciężarem. Przesuwam dłońią po ciemnym drewnie kredensu. Zdecydowanie mnie zaintrygował. Znalazłem w nim dość przypadkową kolekcję przedmiotów, a co najdziwniejsze, każdy z nich miał swoją własną szufladę. Na myśl przychodzi mi dziecko układające na półkach ulubione zabawki; każda rzecz na swoim miejscu. Zamykam każdą szufladę z osobna i dosuwam mebel do ściany. Będziemy musieli zdecydować, co dalej z tym pokojem i tymi starymi przedmiotami. Ale nie dziś.

Nagle gdzieś pode mną wybucha zamieszanie i rozlega się gwar. Słyszę tupot kroków na schodach i głosy moich dzieci, które przekrzykują się nawzajem. Pies Coco szczeka entuzjastycznie w odpowiedzi. Odwracam się, żeby wyjść, a potem właściwie bez namysłu otwieram dolną szufladę i wydaję z niej mały telefonik. Przez moment trzymam go w ręku, czując ten ciężar i kształt, znajomy i obcy zarazem. Ma w sobie urok prostej technologii, która w czasach mojej młodości była najnowocześniejsza pod słońcem, a dziś jej miejsce jest w muzeum.

Wsuwam telefon do kieszeni dżinsów i przechodzę przez niskie wyjście.

Zamiast tego powinienem był zatrzasnąć te drzwi i zabić je gwoździami. Zastawić ścianę regałami na książki i raz na zawsze zapomnieć o tym zakurzonej ustroniu. Pewne sprawy najlepiej obejść szerokim łukiem.

Ale na to było już za późno.

Mosiężny kluczyk z brelokiem w kształcie piłki tenisowej nie pasuje do żadnych drzwi. Ani wejściowych, ani tylnych, ani żadnych innych. Podejrzewam, że pochodzi z czasów sprzed wymiany zamków. Wrzucam go do miski z kluczami przy wejściu. W końcu gdzieś go dopasuję.

Sam wybrałem nasz pierwszy posiłek w nowym domu. Jest nim ryba z frytkami i papkowanym groszkiem, przyniesiona w styropianowych pojemnikach z baru przy Derby Road. Stół w jadalni wkrótce zapełniają papierowe talerze, nierozpakowany jeszcze posiłek, saszetki z solą i pieprzem. Gdy jemy, powietrze przesycą woń octu oraz para unosząca się ze świeżo panierowanego dorsza i słonych, grubo pokrojonych frytek.

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

GDYBYŚ NIE OTWORZYŁ TYCH DRZWI, TWOJA RODZINA BYŁABY BEZPIECZNA

Adam, Jess i ich troje dzieci wprowadzają się do przestronnej wiktoriańskiej willi w ekskluzywnej dzielnicy. Wydali na ten dom wszystkie oszczędności. Podczas urządzania nowej przestrzeni Adam odkrywa pomieszczenie, które nie widnieje na planach budynku. Tam trafia na zbiór zapomnianych, na pozór przypadkowych przedmiotów. Zaintrygowany, wbrew radom żony, pragnie dowiedzieć się, jaką historię skrywa osobiwe znalezisko.

Nie tylko stary dom ma swoje sekrety, Adam również... Sam już wkrótce zrozumie, że zapoczątkował serię wydarzeń, które narażą jego bliskich na śmiertelne niebezpieczeństwo.

*Thriller, który intryguje z hipnotyczną siłą.
Założę się, że nikt z was nie spodziewał się
takiego zakończenia.*

Lee Child



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł